

Felieton pt. „Między dumą a zażenowaniem. Co WOŚP naprawdę mówi o Polsce?”

„Najgorętszy dzień roku”, „lato w środku zimy”. Konia z rzędem temu, kto nie słyszał w ostatnią niedzielę stycznia chociaż jednego z tych albo podobnych haseł. Temu, kto wychodząc choćby na krótki spacer nie widział ani jednego człowieka z kolorową puszką i mnóstwem czerwonych serduszek. Inicjatywa Jurka Owsiaaka jest znana raczej każdemu mieszkańcowi naszego kraju. Nie o „fejmie” jednak ma być ten tekst. A bynajmniej nie o takim, o jakim można w pierwszej chwili pomyśleć.

Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy zagrała w tym roku po raz 34. Jakkolwiek frywolnie to brzmi, bo zazwyczaj przed tą nazwą pojawia się jakaś cyfra, to fakt jest taki, że to już czwarta dekada, więcej niż ćwierć wieku. Przez całe swoje życie nie pamiętam stycznia bez krzyczącego w telewizji ochryplym głosem faceta w żółtej koszuli, czerwonych spodniach i okularach w oprawach tego samego koloru. To projekt zdecydowanie długodystansowy. Jednak po raz pierwszy, od kiedy mi towarzyszy, pomyślałam o nim inaczej niż do tej pory. Po raz pierwszy w życiu zaczęłam patrzeć na orkiestrę przez pryzmat trzech aspektów: obłudy, polityki i wstydu. I jakkolwiek brutalnie to brzmi, chcę jasno zaznaczyć, że nie podważam zasadności organizowanych przez fundację zbiórek i z pełnym przekonaniem uważam, że inicjatywa ta jest absolutnie piękna i niezbędna. Niestety... niezbędna.

Skąd więc obłuda? Zastanawiałam się czy to, aby nie za mocne określenie. Obłuda kojarzy się z czymś do szpiku kości złym, z czymś, co można porównać do raka trawiącego każdy milimetr ciała. Ale nie, nie jest za mocne. Co pod nim ukryłam? Gdybym miała ująć to jednym słowem, napisałabym – Polaków. Tak – Polaków. Nie mieszkańców Polski, o których wspomniałam kilka linijek wyżej. Ten wybrany spośród wszystkich pozostałych Chrystus narodów, Mesjasz niosący na swoich wątłych barkach odpowiedzialność za całą „normalność” świata. Za takich się uważamy, w takim romantycznym duchu zostaliśmy wychowani. Od wieków czujemy się lepsi od innych – lepsi od zepsutego Zachodu, lepsi od zacofanego Wschodu. „Ale co to ma do Owsiaaka?” – mógłby ktoś zapytać. Ma, i to wiele. I to wcale nie dlatego, że jesteśmy sknerami, bo nie jesteśmy. Lubimy, wręcz uwielbiamy pomagać. I nie ma znaczenia, czy robimy to z czystej, bezinteresownej potrzeby serca czy też po to, aby poczuć się lepiej od innych. Liczy się fakt. Jest jednak pewne „ale”, które zaczęło się ujawniać całkiem niedawno. Bo okazuje się, że lubimy pomagać, ALE najlepiej „swoim”. Spektakularnie, głośno, pod kamerę. I najlepiej tylko raz w roku. Taki zryw, zbiorowa mobilizacja sumienia. Tego jednego dnia potrafimy być wspaniali, hojni, solidarni, poruszeni, gotowi do wyrzeczeń. A następnego dnia wracamy do normalności, w której solidarność ujawnia swoją nad wyraz krótką datę ważności, a empatia kończy się tam, gdzie zaczyna się cudzy akcent, obce nazwisko albo „za dużo roszczeń”. To nie jest przypadek, że w tym samym kraju, w którym potrafimy z dumą mówić o serduszkach i rekordach zbiórek, równie łatwo przychodzą nam postulaty ograniczania praw ludzi, którzy musieli uciekać ze swojej ojczyzny przed wojną. Tak, jakby od zawsze był to ich tajny plan i marzenie życia – osiedlić się w Polsce.

Polityka... Ta w WOŚP nie zaczyna się od billboardów ani od tego, kto i gdzie stanął na scenie. Ona zaczyna się dużo wcześniej – w samym fakcie, że Orkiestra musi istnieć. Bo jeśli co roku z takim uniesieniem zbieramy na sprzęt ratujący życie, to znaczy, że państwo od lat nie dowozi czegoś, co powinno być oczywiste. Pojawia się napięcie, którego nie da się już rozbroić uśmiechem ani czerwonym serduszkami. Jedni widzą w WOŚP ratunek, inni wyrzut sumienia. Jedni mówią „wspaniała inicjatywa”, drudzy – „a gdzie jest rząd?”. I nagle, zamiast rozmowy o zdrowiu, mamy rozmowę o władzy. Dlatego wystarczy jeden niefortunny zbieg okoliczności (albo i nie zbieg) – hasło „Wygramy”, biało-czerwone „my”, akcja informacyjna o sepsie wypuszczona w gorącym momencie kampanii przed wyborami parlamentarnymi, żeby zrobiło się z tego paliwo. Potem ktoś złożył zawiadomienie do PKW. Zaczęto doszukiwać się „ukrytej agitacji”, że z kampanii informacyjnej zrobiono front ideologiczny. A przecież najgorsze w tym wszystkim jest to, że nawet jeśli intencją było tylko mówienie o sepsie, to i tak Orkiestra wylądowała w samym środku politycznej bijatyki. Bo w Polsce nie wolno być po prostu „od pomagania”. Trzeba być albo „naszym”, albo „ich”. I właśnie wtedy, trzy lata temu WOŚP bardzo wyraźnie przestała być dla wielu symbolem solidarności, a stała się kolejnym testem lojalności – nie wobec chorych, tylko wobec jakiegoś obozu. Wielu darczyńców poczuło, że ktoś właśnie ich oszukał, że przecież ich grosz czy złotówka miała wesprzeć chorych, a nie tych, którzy z urzędu powinni sprawić, by takie akcje w ogóle nie były potrzebne.

W końcu wstyd... To słowo długo nie chciało mi przejść przez gardło. Bo przecież jak można wstydzic się czegoś, co ratuje życie? Jak można czuć zażenowanie w dniu, w którym ludzie masowo otwierają portfele, wychodzą na ulice, stoją na mrozie, poświęcają swój czas i energię po to, żeby komuś było łatwiej? A jednak. Wstyd nie bierze się z WOŚP. Wstyd bierze się z tego, co WOŚP o nas mówi, nawet jeśli nikt nie wypowiada tego na głos. Bo kiedy w mediach słyszę, że „o Polsce znów mówią na całym świecie”, że jesteśmy „wzorem solidarności”, że „naród zjednoczył się w pomaganiu” – ja nie potrafię tego przyjąć jak komplementu. Widzę w tym raczej elegancko opakowaną diagnozę, którą próbujemy zamienić w powód do dumy. Tak, świat widzi nasze serduszka. Widzi też to, że w XXI wieku, w kraju, który lubi mówić o sobie jak o nowoczesnym państwie europejskim, w kraju, który chwali się tym, że jest dwudziestą gospodarką świata, my nadal organizujemy narodową zbiórkę na podstawowe wyposażenie szpitali. I nie chodzi o jakieś luksusy. Chodzi o sprzęt, od którego zależy, czy ktoś przeżyje. To jest właśnie ten rodzaj wstydu, który boli najbardziej. Bo nie da się go zrzucić na „złych ludzi”, na „niewdzięczników”, na „malkontentów”. To wstyd systemowy. Wstyd cywilizacyjny. Wstyd, że nauczyliśmy się traktować charytatywność jak protezę państwa, jak plaster na ranę, którą ktoś powinien zszyc dawno temu.

A najgorsze w tym wszystkim jest to, że my już się do tego przyzwyczailiśmy. Że w naszej zbiorowej wyobraźni to jest normalne. I ja naprawdę podziwiam ludzi, którzy wrzucają do puszek, którzy licytują, którzy pomagają. Tylko że równocześnie nie potrafię pozbyć się myśli, że to nie jest powód do narodowej dumy. To jest dowód na to, że coś w tym kraju od lat działa tak, jak nie powinno. A jeśli potrzebujemy wielkiego finału, żeby ratować to, co powinno być ratowane codziennie – to może największym problemem nie jest brak serc, tylko brak wstydu tam, gdzie powinien być od dawna.